

Dr. Jacek Gluziński

# Przygoda w Gdańsku

Kto znał w okresie przedwojennym ziemie naszego Pomorza, ten nie przestanie się dziwić dokonanej zmianie. I na odwrót. Kto ich z tamtych czasów nie pamięta, temu obraz dzisiejszy nie da podstaw do tego, by mógł sobie wyobrazić, jak wyglądały wówczas.

W r. 1906, jako świeżo wypieczony maturzysta i adepty tajnego Związku Młodzieży Polskiej miałem starszemu ode mnie kuzynowi towarzyszyć na nielegalnym zjeździe pomorskich działaczy narodowych, zwołany na sierpień w Sopotach nad Bałtykiem. Miałem z kuzynem przepędzić wakacje w królestwie w pobliżu nie mieckiej granicy, skąd blisko było do Poznania. Tam otrzymaliśmy wiadomość, ustalającą punkt zborny w Oliwie pod Gdańskiem na godzinę 8 rano w dniu oznaczonym. Ostrzeżono nas równocześnie, że szpiegzy pruscy mają wiadomość o mającym się odbyć zjeździe, tylko nie wiedzą dnia, ani miejsca. Odkrycie tego zjazdu przez pruską policję polityczną groziłoby nie tylko osobom uczestnikom, ale mogłoby zniszczyć nielegalną pracę na Pomorzu.

Dotarliśmy kołami do stacji pruskiej w Strzałkowie, udaliśmy się bez zatrzymywania do Bydgoszczy. Bydgoszcz opuściliśmy wieczorem, by na noc stanąć w Gdańsku. Nazajutrz rano mieliśmy stawić się w Oliwie w zakomspirowanym mieszkaniu. Nie znając Gdańska i — co ważniejsze — nie chcąc meldować się w hotelu, postanowiliśmy pogodną noc sierpniową przepędzić pod gołym niebem.

Ulice nieoświetlone i puste, stare, czerniejące mury, z daleka do chodzą poświaty lokomotyw na dworcu kolejowym i syreny statków na Wiśle. Co jakiś czas wkrada się w nią głęboki dźwięk wieżowego zegara, wydzwaniającego godziny i kwadranse, albo melodyjny kurant, czy nawoływanie kukułki.

Waleliśmy się bez celu i planu po nieznany mi mieście, choć tak historycznie bliskim. Mijały godziny nocy na tej dziwnej włóczędce. Nasz nielegalny cel w połączeniu z rancasowym otoczeniem gdańskiej nocy wprawia nas w fantastyczny nastrój. Jakbyśmy po starym, polskim Gdańsku wędrowali przed wiekami.

Nagle na załomie ulicy pojawił się jakiś przechodzień. Wytwarne ubranie mężczyzny ze srebrną laseczką. Dość tęgą, niemłodą blondyną podśpiewującą i zataczającą się z lekka. Widać wesoło spędza noc. Zaczepia nas uprzejmie, jak zwykłe ktoś pod dobrą datą. Pyta po niemiecku, dokąd idziemy. Przydało mi się, że władałem doskonale językiem niemieckim. Wyjaśniam więc płynnie, że korzystamy z pięknej nocy letniej i zwiedzamy miasto. Nieznajomy śmieje się dobitnie.

Potem zostali w pokoju tylko we dwie z matką. Krystyna czekała z niecierpliwością przybycia Andrzeja. Nagle cicho zadzwieżała dzwonek. Obie z matką wyszły go powitać. Stał w drzwiach wysoki, smukły, uśmiechnięty. Krystynie zabrakło słów na powitanie, podała mu tylko obie ręce.

— Idziemy na Pasterkę, Krystiu?

Za progiem stanęli od razu w jasnym blasku księżyca. Wokół nich szli ludzie więc tylko, idąc blisko siebie, mówili sobie słowa ciche i gorące i co chwila zwracali ku sobie głowy, patrząc w swoje oczy ciemne w srebrnym świetle zakochane.

— Krystiu, chcę ci coś powiedzieć.

— Co, Andrzeju?

— Na wiosnę weźmiemy ślub.

Tym razem Krystyna nie podniosła oczu. Przytuliła tylko głowę do ramienia mężczyzny miękko, pełnym oddania.

— Wciąż teraz zrobisz dyplom?

— Właśnie o to chodzi. Dyplom zrobić, pracę znaleźć. Młodzi inżynierowie potrzebni są wszędzie, chociażby tak jak ja, nosili na sobie „piętno” tyłu rewizji i aresztowań.

— A jeżeli cię znowu „przymkną”?

— Chcecie, chłopaki, to wam pokażę najciekawsze rzeczy.

Trudno odmówić. Idzie z nami i częstuje nas papierosami, których nam brakło. Zawija się rozmowa. Nasz towarzysz zna znakomicie zabytki historyczne i dzieje Gdańska. Dowiedział się od nas, że mieszkamy we Lwowie i dziwił się trochę. Odrzucał poczy na nam pokazywać polskie pamiątki w mieście: bramę Zygmuntową III, polskie orły na murach.

Coś mi się nie podoba. Zauważyliśmy, że stojący na pustym placu policjant, gdyśmy go mijali, przyłożył rękę do czapki. Nasz przewodnik spojrzawszy na policjanta odwrócił się spieszony.

Porozumiewam się z kuzynem polskimi, urywającymi słowami. Domyślam się, że podziela moje podejrzenia. Jak tu wybrnąć?

Rano musimy być w Oliwie, a tu opiekun nie chce nas opuścić.

Pytamy go, czy mu się nie znudziło tak włóczyć z nami po mieście. Roześmiał się serdecznie i znowu częstuje papierosami.

— Ja jestem stary lampart i lubię towarzystwo młodych.

Już świta, a nie możemy znaleźć rady. Na dobiek każdą próbą porozumienia się z kuzynem i ułożenia jakiegoś planu może odbudzić podejrzenie naszego towarzysza.

Trzeba się go pozbyć za wszelką cenę. Ale jak, kiedy przylgnął do nas nieodłącznie?

Wędrujemy dalej w beznadziejnym usposobieniu. Podeszliśmy do koryta Wisły. Co chwila przesuwają się statki i most zwodzony rozdziela się na dwie części, by przepuścić dymiący komin. Z drugiej strony rzeki dolatują gwizdy parowozów na dworcu kolejowym. Zdała znowu nadpływa statki...

Zbawcza myśl. Po prostu natchnienie. Bez porozumienia jesteśmy ożywieli jedną myślą.

Stojmy właśnie u wrót jakiegoś nocnego szynku. Przy każdym uchyleniu drzwi biją na nas opary piwa.

Zauważyliśmy, że przewodnikowi naszemu brakło już papierosów. Prosimy o nie i otwiera przed nami pustą papierosnicę.

— Gdzie by tu można kupić? — pytamy zakłopotani.

— Nic łatwiejszego. W gospodzie. Poczekajcie, a zaraz przyniosę.

Wszedł do wnętrza, a my — w nogi! Pędzimy ku mostowi. Chyba nigdy w życiu nie gnałem tak opętańczo, jakbym czuł za sobą stado szatanów. Co będzie, to będzie!

Minęliśmy most i patrzymy wstecz. Nasz prześladowca wszedł właśnie z szynku i rozgląda się za nami. Spozatręgli nas i biegnie ku brzegowi.

Nagle — co za szczęście!

Właśnie statek zbliżył się i — jak przypuszczaliśmy — most zwodzony rozpoławia się i powoli

dzwiga w górę. Jedno skrzydło otwiera się ku nam, a drugie zachyla się ku naszemu wrogowi. Rzeki w pośpiechu nie przeszkodziła. Zaczynał pięść z wściekłością i wygraża nam bezsilnie.

Biegniemy dalej, co tchu w piersiach starczy. Na dworcu jednak wchodzimy spokojnie, jak by nigdy nic. O radości! Pociąg do Oliwy i Sopot stoi pod parą i odejście za chwilę. Dla zmylenia śladów bierzemy bilety II klasy do Sopot i wkraczamy do wagonu. Tam od razu zamykamy się w ustronnym miejscu i wyglądamy przez ledwie uchylone okno.

Sygnały konduktorów. Wtem na gło serca zamary nam w przerażeniu. Na peron wkracza nasz znajomy w otoczeniu kilku policjantów. Wypytują się portiera, a potem chodzą wzdłuż pociągu i zaglądają w okna. Ale pruski porządek nie pozwala na przetrzymywanie pociągu. To też pobieżne poszukiwania nie dają wyniku. Ruszamy. Kamień spadł nam z serca.

Wysiadamy w Oliwie. Nikt nas nie nagabuje. Jesteśmy o dwie godziny wcześniej, ale boimy się waleśać. Idziemy pod wiadomy nam adres i budzimy gospodarza. Brodaty, trzydziestoletni kolega przyjmie nas radośnie.

Opowiadamy naszą przygodę. Opisujemy dokładnie wygląd i zachowanie naszego przewodnika.

Zasępił się i wymienił nam jakieś niemieckie nazwisko.

— To on! Na pewno on! Wiemy, że jest kierownikiem wywiadu, tropiącego pracę polskiej młodzieży w Zachodnich Prusach i teraz ma misję wyśledzenia naszego zjazdu.

To jego wygląd i jego metody. Byliśmy o włos od katastrofy!

Dwudniowy zjazd w Sopotach odbył się bez przeszkód w polskim pensjonacie „Quo vadis”. Za kończyła go wieczornica w Sopotach w towarzystwie pań, t. zw. fidulka. Kaszubskie pieśni intonuje znany działacz pomorski, p. Maykowski. A potem klerycy z seminarium w Pelplinie, zainaugurujący krótkie sutańskie, wywijają mazurę.

## TECHNIKA i SZTUKA

W NAJWIEKSZEJ HARMONII

Technika i sztuka w największej harmonii stworzyły fonoplastyczne superheterodyny „Lord”, „Arystokrata” i „Magnat” oraz odbiorniki „Premier”.

Płynna regulacja selektywności i barwy dźwięków. Nowoczesne lampy wskaźnik optyczny do dokładnego dostrajania. Trzy zakresy fal. Szeroki zakres samoczynnego wyrównania ładunków (zakres fal). Pięknie oświetlona duża skala z nazwami stacji. Skrzynka lukusowa o nowoczesnym kształcie z drzewa egzotycznego. Łatwość obsługi.

### RADIO TELEFUNKEN

ODBIORNIKI FONOPLASTYCZNE

## Wigilia w chłopskiej chacie 1936 r.

Tradycja. Słowo to ma wiele swoich treści, kiedy się kojarzy z pojęciem wsi polskiej. Ale treść tę poza swoistością cechuje jeszcze różnorodność daleko nawet idącą. Gdyby tak chcieć zanalizować usposobienie i postępowanie chłopów dostrzegłoby się, że wiele cech ujemnych ale i równie wiele dodatnich, które w sumie składając się na takie czy inne postępowanie człowieka, dają w plastycznym ujęciu jakąś pogiętą linię, jakby eosinoidę, która w zależności od układu elementów dodatnich i ujemnych, raz idzie w górę, po czym sięgnąwszy pewnego możliwego szczytu opada na dół, po tym znów idzie w górę i znów na dół i t. d. Ale owa, że tak powiemy systematyczna różnorodność, spowodowana różnicami systematycznymi i troskami codziennego szarego życia ulega w pewnych momentach gwałtownemu odchyleniu.

Bo są w życiu chłopów chwile, które duszę jego choćby najbardziej zgnębioną, wyrwają z odmięty szarych, przykrych trosk codziennych i unoszą na wysokość szczytu pięknego natchnienia, jakiejś czystej, niezwyklej tęsknoty. Co więcej: stwarzają nawet złudzenie zbliżenia się do szczęścia osobistego i rodzinnego, za którym się przecież ciągle goni.

Do takich wyjątkowych chwil należą wieczory wigilijny. Chłop w ostatnich dniach przedświątecznych poświęca wiele ze swoich prac codziennym przygotowaniom do tego wyjątkowego przeżycia, choć w samej rzeczy treść tych przygotowań sprowadza się do bardzo szczupłych możliwości. Związane z r. 1936.

Bo i obecnie, jak lat poprzednich, tęsknota za gwiazdką wigilijną wzruszyła mocno przynębią, niekiedy zbuntowaną na turę chłopską. Ale czy to szczególnie wzruszenie potrafi przestąpić tę wyjątkową rzeczywistość tegoroczną?

Kiedy zabłyśnie na ciemnym firmamencie pierwsza gwiazdka, co onsi Trzech królów wiodła do łobka Dziecięcia swymi promieniami, dośięgnie duszy człowieka wiejskiego i z pośród najbliższego zespołu powiezie go choć na chwilę w krainę pięknych marzeń. Ale czy rzeczywistość życiowa zdoła wypuścić go ze swego uścisku?

Bo chata chłopska, w ten wieczór wigilijny nie będzie przewyższała swym przepychem... stajenki Betleemskiej.

Na wieczery znajdują się może tu i tam wymagane przez tradycję potrawy, bo swoistej chłop-

skiej tradycji zadość się stać musi, ale w istocie rzeczy będą to tylko pozory tradycji. Na kupno koniecznych przypraw pieniędzy nie stało, a własną ziemię należało wykorzystać na bardziej zasadnicze zaszewy. Zresztą czas wiosny zewsząd dochodziły słuchy o możliwości poprawy warunków bytu. Ba! Stworzono nawet pozory daleko idącej zwyczajności produktów rolnych. W okresie późniejszym nadzieje zdawały się być uwiecznione poważnym sukcesem, ale znaleźli się macherzy, którzy w imię „dobra państwa” czy też „ogólnego interesu gospodarczego” w swym zgrany zespole przeciwstawili się zwycięstwu w rolnictwie, a tym samym i polepszeniu warunków gospodarczych wsi polskiej. I chłop nie zdołał się wyostać z dna biedy w jaką spycha go coraz bardziej gospodarka kapitalistyczna.

Jeśli komuś wydać się może dziwna ta pewna zmienność w nastawieniu chłopów, to niech stara się bardziej zgłębić sytuację życiową wsi naszej.

Chłop zgodnie ze swymi właściwościami psychicznymi, stara się całym wysiłkiem swej woli naigłać tę wyjątkową rzeczywistość do wymogów tradycji.

Przy stole wigilijnym znajdują się niewątpliwie wiele rzeczy nie-

codziennych. I opłatek i kluski z makiem i grzyby i pierogi i może coś więcej jeszcze. A ponad tym wszystkim górować będzie niezwykła serdeczność uzewnętrzniona w łamaniu się tradycyjnym opłatkiem i we wzajemnych życzeniach lepszego jutra.

Po tym, gdy z piersi chłopskich popłynie melodyjna pieśń „Lulajże Jezuniu, lulajże lulaj...”, dusze ich uciekną od szarej rzeczywistości — aż hen! — do Betleemskiej Stajenki i tu u stóp Jezusa wyciągną w dani ogrom swych krzywd społecznych.

I porówna sobie dziecię wsi polskiej los swój z losem Dzieciątka z Betleem. Czyż nie znajdzie podobieństwa? Jak kiedyś Chrystusa usiłował okrutny Herod oderwać od Jego Matki, tak dziś wiele się wkłada wysiłków, by odciąć chłopów od matki-ojczyzny.

Anonimowy kapitalista nie uchodził niemal w niczym chytre-mu legendarnemu satrapie.

Chłop znalazł niestety więcej Herodów na swej drodze życiowej, którzy różnymi sposobami usiłują go odgrodzić od własnej ojczyzny, ale przyjdzie chwila, — kiedy pieśń wigilijna będzie zarazem pieśnią zwycięstwa.

Wielniak

— Ha, to trudno. Sama nie darowałabyś mi na pewno, gdybym stochrzał i przestał pracować.

Na zamarniejętą ziemi coraz częściej dudniły czyjeś kroki. Trzaskali przymykane drzwi i bramy, rozwierane do wyjścia.

— Ostatnie wiadomości łącznik przywiózł ci do Warszawy miesiąc temu? — spytała Krystyna.

— Tak.

— Od tej pory przybyły nam cztery nowe wieści z tej i z drugiej strony powiatu. Wspaniały materiał ludzki.

— Jeździsz zawsze na zebrania?

— Wszędzie tam, gdzie moja obecność nie sprowadza podejrzeń na zebranych. Jeżdżę już też raz nie dlatego, żebym ja była, ale potrzebna jeżdżę, żeby słuchać tego, co oni mówią sami. O ile oni mądrzejsi są od wielu przemadających a leniwych inteligentów!

— Odprawę naznaczyłem na drugi dzień świąt. Staśka Kalinkę widziałem już na stacji.

Minęli dwie ostatnie chałupy, nisko przysiadło po dwóch stronach drogi, i weszli w biały szeroki świat. Srebrna białoskość lśniła pola i na ich tle jak lampy płonęły samotny kościół. Od miasteczka dzieliła go wąska rzec-

ka, polyskliwym czarnym strumieniem sącząca się przez śnieg.

Krystyna i Andrzej stanęli na moście, wspierali o balustradę. Przed ich oczami rozkładała się biała przestrzeń, lekka pochyloność od lasów spadająca do miasteczka. Po niej jak nagle wzbierające potoki płynęły równymi łóżyskami dróg ciemne, zwarte tłumy. Nie rozróżniało się z daleka pojedynczych ludzi, płynęli jak masa wyrzucona z głębin borów, z wnętrza dalekich wiosek. W księżycowym świetle widać były wyraźnie początki tych tłumnych pochodów. Szli ludzie z Górki i Wojnowic, od Zabrodzia i Grabów, Borowy, Skrzypiec i Stęszowa, szli z Rudy, od strony Włynic i Kotpina, Ojrzynia i Niesulowa, z bliskich i dalszych wsi, z całej parafii.

— Patrząc Andrzeju, coż za mrowie ludzi!

— Idą wszyscy, kto może. Sprawdza ich nie tylko zwyczajna pobożność, która im każę co niedzielę odwiedzić kościół. Dziś jest w tym coś więcej jeszcze. Ta nocna wędrowka, wigilijne nabożeństwo jest dla nich wielką wspaniałą chwilą, której wielkość przeważnie zresztą odczuwają podświadomie. Jest świąteczną, zbiorową manifestacją uczuć, potężną i radosną. W tej

radości i w potęgę tkwi poezja i urok, za którym tęsknią nieślaci. Ale jednak były okresy, że nawet pasterka nie przyciągała ludzi, a młodych było w kościele niewiele...

Przez most koło nich przechodziło coraz więcej ludzi. Szły kobiety w grubych pasiastych welniakach i w ciężkich krzacastych chustach, chłopcy w kożuchach i wysokich króliczych czapach, albo szarych wełnianych na uszy czapach jarmarcznych. Prawie każdy młody uśmiechał się do Krystyny i Andrzeja, wznosząc przy tym rękę. Wśród idących przesuwały się rzemieślnicy z nia steczka, drobni kupcy i miastecz-kowi gospodarze.

— O, patrz, ilu ich naraz idzie, nasi chłopcy — powiedziała Krystyna.

Podchodzili do mostu wielką gromadą zebraną po drodze z różnych wsi. Szli równym, nocnym krokiem, nabytym w wojsku. Jakby umyślnie ustawieni w ordynku postępowali w czwórkach, ramie przy ramieniu z głowami śmiałymi uniesionymi w górę. Dostrzegali stojących na moście i jak na komendę w ich ręce umówionym gestem powitania. Dwóch z nich wysunęło się naprzód, podchodząc do Andrzeja i Krystyny.

— Czołem, kolego kierowniku!

— wypowiedzieli cicho słowa, prostując się przed nim sztywno.

— Jak się macie, drodzy chłopcy. Tyle miesięcy już was nie widziałem, cieszę się ogromnie, że widzimy się wreszcie.

— Kiedy kolega zawoła nas do siebie? — zapytał Józef Bartnik.

— Stasiek powie wam, kiedy odprawa. Przyjdziecie wszyscy kierownicy.

Kościół wypełnił się po brzegi. W małym kościele na ścianie w asyście gipsowych figurek Matki Bożej i pastuszków leżał mały Jezusek. Zielone choinki tłoczyły się pod ścianami, a świece, szczerze zapalone we wszystkich świecznikach rozlewały ciepłe światło.

Kiedy cicha msza dobiegała końca, organista rozpoczął swoje popisy. Z potężnych organów wydobywał „tony anielskie”, dźwięki cichych piszczałek i grzmiał długimi akordami. Wreszcie po obu klawiaturach biec zaczęła wspaniałą pasażem. — Ba, powtarzał go od tylu lat w uroczystych chwilach. Ludzie poruszeni, rzucając w nich z góry gądkę dźwięków, unosili zaczęły głowy w stronę chóru, poprawiali się w sobie, chrzaskali i przygotowywali gardła. Było wiadomo, że

za chwilę rozpoczyna się kołędy.

I na znak organów zabrzmią pierwsza kołęda, jak zawsze, jak co roku ta sama. „Wśród nocnej ciszy” śpiewali ludzie musowo — bez żadnego pianina, bez crescendo, na niustannym forte, całą mocą nieuczonych głosów. Pieśń — kołęda rosła i potęgiała, wzbijała się nad głowy aż pod sklepienie, w radosny uniesieniu padała na stopnie ołtarza i przez drzwi szeroko otwarte leciała w świat, — na białe pola, w ciemnym otoku lasów i na miasteczko upiększona księżycowym blaskiem.

Tego wieczoru w zamkniętych domach, jak w faldach ubioru miasteczko ukryto swą szpetną, obrzydliwą narośl, wzrosła jak w ciału, w jego życie: cuchnące żydostwo, złych ludzi, przybitych tu z obcych stron i pospolitych, obojętnych na wszystko leniuchów i niedowidaków. W wigilijny wieczór oni wszyscy nie liczyli się wcale.

I w tę noc świetlaną, śpiewem rozmodnioną miasteczko i kościół wzajem należały do siebie, a z nimi w jedną całość łączyły się dalekie wioski, czerniejące, doskakiwały w srebrnym śniegu... świat, którym coraz pewniej rządziła czynność — odrodzona wiara i nowa ziemna idea.